

Stanisław Rogala

W KRAINIE
ŚWIĘTEGO JELENIA

Ilustrowała Urszula Dyraga

Gens

Kielce 2001

PUSZCZAŃSKI PIELGRZYM

Puszcza była ogromna. Rozciągała się z północy na południe, ze wschodu na zachód po górach i dolinach. Okiem nie można jej było ogarnąć. Pochłaniała liczne ruczaje, strumyki i potoki. A z jej topielisk i mokradeł wpływało wiele rzek, nad których brzegami zamieszkiwali ludzie. Po jej krętych drożynach i polanach śmigały szybkie jelenie, zgrabne sarny, dzikie ryjce i płochy zające. W matecznikach groźnie pomrukiwały niedźwiedzie,

a w gąszczu grubych konarów przekomarzały się ptaki.

Pośrodku puszczy wznosił się groźny maszyw górski z niebotycznym Łyściem. Jego wierzchołek zawsze okrywały chmury i leśne opary, dlatego miejsce to niegdyś obrały na swoją siedzibę czarownice i nieczyste moce. Ludzie stronili odjiiiego. Nawiedzali go tylko pogańscy kapłani, by złożyć dary groźnym bóstwom: Świstowi, Poświstowi i Pogodzie, wyblagać przychylność

dla siebie i mieszkańców puszczy. Równie groźne były zbocza Łyśca. Twarde, kwarcytowe skały, zalegające na nich, były ruinami potężnego zamku, dźwigającego tu swe mury przez szereg wieków. Jego dumna władczyni - Dyana - zażądała od poddanych boskiej czci, a od Śwista, Pośwista

i Pogody uznania za równą sobie. Bogowie, mieszkający w świątyni na Łyścu, uznali to za bezbożność i ognistymi piorunami zburzyli błyszczące w słońcu mury zamku, grzebiąc pod nimi pyszną królową i jej dworzan. Wielki książę Mieszko, powracając z południowego kraju, skąd wiozł wybrankę serca - Dobrawę, w podziękowaniu za jej urodę, rozkazał przepędzić

czarcie moce i zniszczyć pogańską świątynię, a na wyniosłości dającej wgląd w cały jego kraj zbudować nową, chrześcijańską. Tak się też stało.

Świątynia ta, zwana kaplicą Dobrawy, oraz okoliczna puszcza, grubego zwierza, przyciągała licznych pątników: królewiczów, książąt i Jcnych rycerzy, chcących tu modlić się i polować.

Je

Węgierski książę Imre-Emeryk, kolejny raz goszczący w kraju Mieka, wnuka Dobrawy noszącego imię dziadka, już dwa tygodnie ugarjj się po puszczy. Dopisywało mu szczęście. Każdego dzionka powalał gbeego zwierza; to sarnę, to jelenia, nawet niedźwiedzia z pomocą druh: powalił i niezliczoną ilość drobnicy: ryjców i zajęcy. Mimo to łowy n zadowalały go w pełni. Niespokojnie rozglądał się po puszczańskich o pach, myszkował po matecznikach i polanach, popędzał konia, chcąc gać się z wiatrem. Książę już kilka razy zoczył dorodnego jelenia z roz:: żystą koroną rogów na czubie głowy i słonecznym blaskiem między ni lecz nie mógł go podejść. Nim zbliżył się na odległość strzału z łuku 1 rzutu oszczepem, zwierz przepadał. Pojawiał się i znikał między drzew mi, nadzwyczaj szybko oddalał długimi susami, to znów zatrzymywał niby czekając na księcia, nawet odwracał w jego kierunku dorodny l i zachęcał do dalszej pogoni. Wodził księcia po manowcach, wzbudzają coraz większe zainteresowanie i zniecierpliwienie, jakby prowokował 1 Pierwszy raz Imre-Emeryk spotkał go nad rzeką Słupczą. Napoił już konia. Czystą i chłodną wodą przemył swoją spoconą tw i zamierzał powrócić do obozu. Dzionek przechylał się już ku zachodc zmęczony koń, po ostatnim galopie wzdłuż Czarciej Polany za dorodi: ryjcem, robił bokami. Czas było wracać. Uniósł głowę i wtedy zoczył jela nia. Stał na przeciwległym brzegu rzeki i przyglądał mu się. Zwierz na ciemnej ściany puszczy prezentował się wspaniale. Wielki i rozrośnięty w t bie, na sprężystych badylach. Między jego rogi, gdzie zwykle znajdow się biała plamka, padały złote promienie słońca. Skóra jego lśniła, mięśnie

nóg i kłębią lekko drżały zdradzając wielką siłę. Emeryk był oczarowany widokiem zwierza, jeszcze takiego nie spotkał. Mówią, że tak wygląda władca tej krainy. Ludowa bajda głosiła, że kto pochwyci go, zostanie panem gór i puszczy, dobrego i złego, życia i śmierci. Ludowe bajdy nieraz noszą w sobie prawdę.

Od zwierzaka dzieliło go ledwie kilka metrów. Ruszył, nie zważając na wartki prąd wody. Dumny jelenń wyzywająco patrzył na niego, jakby chciał zmierzyć się z królewskim synem. Książę już dochodził drugiego brzegu. Zdawało mu się, że wystarczy sięgnąć ręką, a ucapi zwierzę. Jego poroże byłoby wspaniałym darem dla Iwony, córki Mieszka, która została przeznaczona mu na żonę... Wyciągnął rękę, już niemal dotykał aksamitnej skóry zwierzaka, już czuł okrutne zmagania z jego siłą nim skręci mu kark i powali na ziemię... jeszcze tylko krok, dwa... Nieoczekiwanie jelenń strzelił zadnimi nogami w ziemię, w powietrze poszybowały dwa kłaki trawy i błota, i zniknął. Książę oniemiał...

Z kępy karłowatych ostrężyn dochodził śmiech. Ktoś był świadkiem jego porażki. Chciał zawrócić do konia pozostawionego na drugim brzegu, wtedy poślizgnął się i skapał w zimnej wodzie, co dodatkowo rozzuchwaliło śmiałka ukrytego w krzakach.

Zważ przybyszu, podróżniku -
rzeki nasze bystre,
lasy nieprzebyte,
a zwierzęta święte -
wszystko bóstwom darowane
- uchodź w swoje kraje.

Książę wiedział, że puszcza jest ostoją nieczystych mocy, a góra Łysiec do niedawna była siedzibą pogańskich bóstw: Śwista, Pośwista i Pogody. Tu mieli swoją kontynę. Dobrawa spaliła bałwochwalcze posągi,

w miejscu pogańskiej świątyni chrześcijańską kaplicę postawiła, lecz nie była w stanie przepędzić wszystkich szatańskich mocy. Ich resztki rozproszyły się po puszczy i ciągle bałamuca ludzi. Nie lękał się ich książę. Miał ojcowski talizman, który król Stefan zawiesił mu na szyi, kiedy wyruszał do północnego kraju Mieszka. Dotknął aksamitnego woreczka wybitego guzami złota i klejnotami, w którym przechowywał Chrystusowe Drzewo.

Proś Pośwista,
błagaj Śwista,
czarcie moce wzywaj -
dostaniesz jelenia,
borsuczego sadła,
sowich szponów garść
i niedźwiedzią maść.

Szukaj kruka...

Uczynił znak krzyża i uspokoił się. Nie zważając na czarci jazgot, dosiadł konia i ruszył wzdłuż Słupczy. Kierował się na południe wzdłuż jej biegu. Na polanie u podnóża góry jego woje mieli założyć obozowisko. Tej nocy jednak Imre-Emeryk nie odpoczywał spokojnie. Dorodny jelen przechadzał się w pobliżu obozowiska, a kiedy książę chciał podejść go, uchodził nieoczekiwanie, rzucając mu w twarz kłakami trawy i błota. Wokoło słyhać było chichot i pomrukiwanie. Z krzaków wychodziła wiedźma Szumiwiłła i namawiała, by dał jej aksamitny woreczek. Uczyni go panem gór i puszczy. Sprawí, że będzie królem większym od Mieszka, ba, nawet od ojca... Budził się, przerażony strasznym snem, wielokrotnie czynił na piersi znak krzyża, wychodził z namiotu, kąpał w leśnym strumieniu, by ochłonać. Wracał, kładł się na skórze, a sen powracał jak zhora i mę-

czył grzesznymi obietnicami, Usnął dopiero przed świtem, kiedy zaczynało budzić się leśne ptactwo.

* * *

Pośrodku polany gorzało wielkie ognisko, na którym piekła się dziczyzna. Woje już szykowali się do opuszczenia obozowiska i rozpoczęcia kolejnego polowania. Niespokojnie spoglądali w stronę szałas, w którym spał dostojny druh. Nie chcieli przerywać jego snu. "Wczoraj wrócił z polowania

o pierwszym zmroku, był dziwnie odmieniony. Opowiadał jakieś fantazje o dorodnym jeleniu opromienionym słońcem, którego usiłował pochwyć dla swojej wybranki serca. Podczas snu krzyczał broniąc się przed nieczystymi mocami, rzucał się po barłogu, niby paliły go niedźwiedzie skóry. Galopował na swoim siwcu, to znów ciężko dyszał i zapadał w krótki sen.

Wreszcie u wejścia do szałas pojawił się książę Imre-Emeryk. Woje, oczekujący na to, po kolei zbliżali się do niego, przyklękali tak blisko, że czołem dotykali jego kolan. Wtedy książę chwycił każdego za ramiona, pomagał wstać i mocno *przytulał do swoich piersi, dziękując m* powitanie. Wkrótce kuchmistrz podał pieczoną dziczyznę i kubek leśnego miodu rozcieńczonego

źródlaną wodą. Śniadanie smakowało *wyśmienicie*. Po jego zakończeniu książę przemówił krótko:

- Druhowie mili, jakieś czarcie siły umysł mi mącą. Powinienem udać się do grobu pobożnego Wojciecha i prosić u jego stóp o oczyszczenie sumienia, ale król Mieszko gromadzi zapasy na wojnę wyprawę, Zausznicy donoszą, że Konrad znowu przeciwko Polanom się sposobi... Niepokój mnie ogarnia. Bądźcie więc blisko mnie, druhowie, radą i pomocą służcie.

- Tak będzie, książę. Nasze miecze i ramiona będą twoim mieczem i ramieniem. Nasze konie sprostają twojemu siwcowi.

- Dziękuję wam. Czas więc łowy zaczynać.

Łowczy zagrał na rogu i myśliwi ruszyli w puszcę. Jak przystało, ze względu na pochodzenie, ksiązę ruszył pierwszy. Ledwie poczuł **na** skroniach powiew wiatru, szarpnął swojego siwca za grzywę, spał ostrogami, zapominając o nocnych majakach, i pomknął. Łatwo było przyrzec wojom dorównanie księciu, ale już na skraju polany jego koń wyprzedził ich o kilka skoków. Gdy wypadli na tyse zbocze Sowiego Jaru, zobaczyli tylko ogon siwca. Na kolejnej polanie po jeźdźcu i jego rumaku został tylko wiatr.

Ksiązę polował już od kilku godzin. Zostawił za sobą trzy ryjce, dwie łanie i niezliczoną ilość drobnicy. Był przekonany, że towarzysze, którzy na pewno podążają za nim, zaopiekują się jego zdobyczą i zabiorą łów do obozowiska. W jakimś mateczniku natknął się na niedźwiedzia, ale nie wiadomo dlaczego nie wziął się z nim za bary. Zwierzę dobierało się do barci, których wiele było w tej puszczy. Zostawił je w spokoju. Dalszą drogę przegradzał górski strumień. Z szumem spadał w dół i nikt w chaszczach.

Ksiązę postanowił zatrzymać się nad nim i dać nieco odpoczynku zgonionemu rumakowi. Puścił go w świeżą trawę porastającą brzegi strumienia.

Sam stanął nad urwiskiem i uważnie lustrował chaszczę. Coś kłębiło się w nich jak w wielkim kotle, chichotało, bulgotało, szeptało i pokrzykiwało, a wokół unosiła się biała zawiesina niby dym, niby mgła. Wiatr, powiewający nad chaszczami, nie był w stanie jej rozpędzić. Było to mroczne miejsce, ale ksiązę nie lękał się, już nieraz przecież walczył z czarcimi mocami. Coraz wyraźniej docierały do niego tajemne zaklęcia:

Diabeł sadłem kaszę krasi,
sowa w dzieży żur pitrasi,
stary puchacz na gałęzi,
ni to śpiewa, ni to rzezi...

Z zawiesiny zaczęły wyłaniać się dziwne stwory. Ciała niektórych składały się ze szkieletów, obleczonych wodorostami niby pajęczyną. U innych ręce i głowy porastała gruba szczecina, przez którą wзираły nagie gnaty. Jeszcze inni opływali w rozlewającą się na boki galarete, w miejscach rąk i nóg wyrastały patyki niby obeschnięte gałęzie. Stwory tańczyły wokół kotła bez żadnego porządku, popychając się, przewracając, depcząc po sobie i chaszczach.

Piszczą w trawie podłe skrzaty,
trzeszczą wilom zeschnięte gnaty,
na wyścigi pędzą strzygi,
mkną przez krzaki wilkołaki.
Zewsząd wilki, zewsząd diabły
na kraj ten się dzisiaj sprzęgły.
Będzie śmierć, będzie głód,
w jasyr będzie człek człeka wiódł.
Zestrachał się książę słysząc mroczną przepowiednię. Czarcich mocy
się nie lękał, ale wiedział, że niektórzy ludzie potrafią przepowiadać
przyszłość;
to święci pańscy i czarownicy. Zaczął uważnie nasłuchiwać.
Na zachodzie ostrzą miecze,
aby ścinać głowy człecze.
Przejdą rzeki, przejdą bory,
opanują kraj Mieszkowy.
A na wschodzie prężą łuki,
wezmą zemstę kij owiany...

Z puszczy wyjdzie lud północy,
kraj Mieszkowy w krwi umoczy.

Czarcie moce nic nowego nie komunikują. Na królewskim dworze już wiedzą od kilku niedziel, że gniewny Konrad ruszył przeciw Polanom, chcąc pomścić zniszczoną przez Mieszkowe wojska Saksonię. Zausznicy donosili, że na wschodzie budzi się w ruskich legowiskach Jarosław i będzie mścił Bolko we wyprawie na Kijów. Pewnie pociągnie za sobą Mściława. Dla rycerskiego ducha to niestraszna nowina, lecz okazja do zdobycia sławy i majątku.

- A kysz, pogańskie straszzydła. A kysz!

Nagle z kotła wyskoczyła Szumiwiłła, najbardziej przebiegła czarownica, której do tej pory nie udało się przepędzić z Łyśca. Jak zawsze towarzyszyło jej wesołe a zakochane w niej po uszy diable zwane Turosikiem.

Sumiwiłłajuz przymilała się księciu.

- Wybacz panie, który winieneś najmężniejszym hufcem dowodzić, orszak pięknych branek ze sobą prowadzić..., krajem od morza do morza władać... Okazja ku temu się sposobi...

- Nie kuś czarcia służko bogactwami ani dostojenstwami, bom niegodny ich. Precz, nieczysta siła...

- Nie odmawiaj pochopnie, księżę. Czarownica, nieczysta siła, ale wiele wie, mogłaby się podzielić z tobą. Zyskałbyś. Wrogi twoje i Mieszka stanęły na granicy...

- Żadna mi to nowina. W kraju Polan od dawna mówi się o wojnie...

Diablik, towarzyszący wiedźmie, czmychnął pod ogonem księżęcego siwca, udając bąka, czym spłoszył konia. Księżę może mieć kłopot z powrotem do obozowiska.

- Dużo wiesz, wielmożny panie, ale wiedźma Szumiwiłła może jeszcze więcej powiedzieć... Odłóż złotą sakiewkę na ziemię, aby jej moc nie

zaciemniała widzenia... Okrutny czas, krwawy czas dla Polan nastaje. Rzeki spłyną krwią, ziemia zabarwi się płomieniami, Mieszko zostanie przepędzony i okaleczony. Będzie szukał pomocy u czeskiego Udalryka. Jego brat zacznie rządzić krajem... Od miecza i płomienia ziemia ta spłynie...

-Nie może być, stara wiedźmo... Stefan Węgierski przyjdzie mu z pomocą i ja nie zostawię księcia w potrzebie!

- Nie wiesz najgorszego, księżę. Najgorszego dla was, a najlepszego dla nas. Koniec chrześcijańskiej wiary się zbliża! A ha, ha! Nasi bogowie powrócą! Znowu zamieszkamy na Łyścu! Hop sa, hop sa, hop sa sa!

Hej, siostrzyce, czarownice,
dalej, żwawo na Łysicę,
na pomiotła, na požogi,
niech bogowie pomrą z trwogi.

Hop sa, hop sa, hop sa sa!

- Co pleciesz, czarcie pomiotło? A kysz!

Księżę sięgnął do aksamitnego woreczka, by przepędzić czarownicę, lecz ona już oddalała się w szatańskim tańcu. Wirowała w szaleńczym pędzie, a wraz z nią wirowały liście, gałęzie i woda z pobliskiego strumienia.

Aż pociemniało niebo. Zrobiło się straszno. Padł księżę na kolana i nakreślił na piersiach krzyż. Czarci taniec zamarł pośród drzew. Od razu też pojaśniało. Rozejrzał się wokoło. Nie było jego siwca, nie miał zbroi. W głowie kołatały słowa strasznej przepowiedni. Co czynić?

Nagle zza dwóch starych dębów wyszedł dorodny jeleń, który zwodził go ostatniej nocy. Bez oznak strachu zbliżył się do księcia.

- Księżę - przemówił jeleń ludzkim głosem. - Nie obawiaj się. Dosiądź mojego grzbieta a zaniosę cię do towarzyszy.

Książę nie wiedział co czyni. Wskoczył na grzbiet jelenia i dał ponieść się wiatrem.

* * *

Już trzy dni leżał w swoim szałasie książę Imre-Emeryk porażony dziwną niemocą.

Koń jego wrócił wczesnym popołudniem, ale bez jeźdźca, co wywołało pośród towarzyszy popłoch. Pewnie książę ranny! Rozbiegli się po puszczy w jego poszukiwaniu. Lecz książę wrócił tuż przed zachodem słońca. Przybył na grzbiecie rosnącego jelenia. Słudzy, obecni w obozowisku, padli na kolana, uznając to za cud boży. Ale książę był półprzytomny. Bełkotał coś o krwi, choć jej nie było na jego rękach ani na ciele, o pożarach, pohańbieniu

dziewic i świętych ołtarzy, choć od wielu lat czas był spokojny, złowrogo wieszcząc o końcu chrześcijańskiej wiary i kraju Polan. Wytrzeszczał przerażone oczy, rwał na sobie szaty, żądał miecza i chciał biec przeciwko wyimaginowanym wrogom. Jakby opanowały go nieczyste moce. Nim towarzysze

powrócili z poszukiwań, księcia całkowicie odeszły siły. Leżał na legowisku i dyszał. 'Nasmarowano jego ciało borsuczym sadłem, podano naparu z najlepszych ziół, okryto niedźwiedzimi skórami. Posłano umyślnego po królewskiego medyka, ale ten w puszczańskie ostępy mógł przybyć nie wcześniej niż po tygodniu.

Następnego dnia książę uspokoił się nieco. Oddech jego zelżał, pocenie ustało, tylko te przerażone oczy i nieprzytomność umysłu, nie pozwalająca wyjaśnić tajemnicę jego stanu, nie opuszczały. Po kolejnej nocy, wydawało się, że spędzonej dość spokojnie, stan zdrowia księcia znowu poprawił się. Już nie krzyczał, nie zrywał się, nie opowiadał strasznych rzeczy o mordach i pożarach. Skulony siedział w najciemniejszym kącie szałas, skąd nie pozwalał wywieść się najlepszemu druhowi, i szeptał modlitwy.

Oczy pozostawały niewidzące, uszy niesłyszające. Przed wieczorem padł na kolana, uniół ręce do nieba i podwoił modlitwę. Słowa jego były bardzo żarliwe, płynęły z głębi serca. Modlił się tak przez całą noc. Nad ranem ucichł, ale ręce pozostały uniesione, oczy zapatrzone w najwyższy punkt szafasu. Twarz wypogodziła się, nawet miała w sobie coś z radosnego uśmiechu.

Skoro świt wezwał swoich wojów i przemówił:

- Druhowie moi, dzisiejszej nocy dostałem łaski. Objawił mi się świetlisty anioł. Unosił się nad szczytem Łyśca. Towarzyszył mu jelen, który przywiódł mnie tu, gdy powalony zostałem przez nieczyste moce... Podczas mojego bezrozumnego leżenia w barłogu usiłowałem wam powiedzieć, czego dowiedziałem się od czarownicy. Dla kraju Mieszka nadchodzą bardzo trudne czasy, wielu nieprzyjaciół ze wschodu i zachodu zechce zagarnąć tę piękną ziemię. Najbardziej knowają bracia jego: Bezprym i Otto. Ciężkie czasy nastaną również dla naszej wiary. Lud łupiony przez wielmożów

zechce powrócić do pogańskich bóstw, za których panowania lepiej mu się żyło. Świątynie w gruzy pójdą, zielskiem zarosną, Święty Krzyż pohańbiony zostaiiie, że tylko płakać i czekać kary. O bracia, bracia!... Powrócą

pogańskie czasy szatana... Bracia, modliłem się żarliwie i dostałem łaski... Anioł wskazał mi drogę ocalenia wiary naszej i ojczyzny Polan: modlitwę i pokutę, którą przede wszystkim ja mam wypełnić, jako największy grzesznik pośród was... Nie zaprzeczajcie, bracia!

Pójdę na kolanach do kaplicy Dobrawy na szczycie Łyśca; poniosę Drzewo Krzyża Chrystusowego, które ofiarował mi święty król Stefan, gdy wybierałem się do Mieszkowego kraju... Na szczycie Łyśca zachowały się jeszcze resztki pogańskiej świątyni. To mój grzech, nie zniszczyłem ich... Wskazało mi je skrzydło anioła. Zburzę pogańskie siedlisko do ostatniego kamienia i uproszę Mieszka, by w miejscu tym klasztor ufundował. Będzie królował nad krajem Polan, będzie go otaczał cieniem swoim...

Wojowie i służba byli zaskoczeni dziwnymi wieściami księcia i jego postanowieniem, ale przemawiał z takim żarem, że nie mogli w niczym zaprzeczyć ani nie mieli sił odwozić od zamiaru. Wiedzieli przecież, że to młodzian dobry i świętobliwy niemal jak jego ojciec, więc słowa jego muszą być prawdziwe a postanowienie ostateczne.

- Druhowie mili, o jedno tylko proszę, nie wzbraniajcie mi wypełnić polecenia świetlistego anioła, okazać się godnym łaski, której dostąpiłem... Imre-Emeryk wstał, wydobyl z za koszuli aksamitny woreczek wybity złotem i klejnotami i, całując go, rozplatał złote sznurowadło. Pochylony nad jego wnętrzem długo modlił się. Zanurzył rękę, a kiedy ją wydobyl, oczom zebranych ukazał się Krzyż, od którego bił wielki blask. Blask Chrystusowego

Drzewa, na którym umierał Boski Namiestnik. Upadli na kolana w żarliwej modlitwie.

Około południa poniósł na kolanach święty Imre-Emeryk Drzewo Krzyża Chrystusowego na szczyt Łyśca. Każdy krok jego znaczony był kroplami krwi, każde słowo modlitwy kroplami potu, ale powstrzymał nieczyste

moce przed ponownym rozpanoszeniem się w puszczańskiej krainie, a kraj Polan uratował od niewoli.

Kiedy król Mieszko odzyskał koronę i władzę, na pamiątkę poświęcenia pobożnego królewicza, kazał ustawić na skraju polany kamienny posąg. Z miejsca tego rozpoczął Imre-Emeryk drogę do kaplicy Dobrawy. Wkrótce na szczycie Łyśca król ufundował klasztor.

Świetlisty blask Krzyża poniósł szybkonogi jeleń po okolicznej puszczy, nazywanej od tamtej pory Krainą Świętego Krzyża albo Świętokrzyską.

JAK POWSTAŁY KIELCE

Już blisko tydzień niewielki orszak rycerzy pospiesznie zmierzał na południe. Wybierał leśne ścieżyny i mało uczęszczane szlaki, unikając głównych traktów. Często zanurzał się w puszczańskie gąszcze, jakby uchodził przed kimś i starał się zmylić pogoń.

Rycerze byli dostatnio odziani, uzbrojeni w miecze i łuki. Na głowach ich lśniły metalowe szyszaki. Lecz mimo bogatego ubioru i młodego wieku nikt nie cieszył się, nie śpiewał. Konie stąpały ciężko, jakby zwierzęta i jeźdźcy byli zmęczeni. Wydawało się, że droga ich była długa, a wędrowanie zaczęło się dawno. Wszyscy ponuro milczeli.

Bezprym, jadący przodem, odwracał się co kilkadziesiąt kroków i z szacunkiem

spoglądał na rosnącego młodzieńca. Gdy dostrzegł w jego oczach przyzwolenie, popędzał swojego konia. Nieraz przystawał i nasłuchiwał. Jeżeli pojawiała się większa polana, wysyłał do przodu dwóch towarzyszy. Z pozostałymi czekał w ukryciu, aż śmiałkowie znajdą się po drugiej stronie polany i ręką dadzą znak do dalszej wędrówki.

Przekroczyli w ten sposób już niejedyn trakt, niejedną puszcę, przebyli szmat drogi. Przez ostatnie dni znacznie oddalili się od Płocka, którego upodobał sobie na siedzibę książę Władysław Herman, władca krainy Polan, i jego zausznik Sieciech.

Przed południem pokonali ostatnie pasmo dzikich gór. Ich najwyższy szczyt, zwany Łysicą, chował swój skalisty grzbiet w chmurach, a u jego stóp rozciągały się szerokie, nasłonecznione i pokryte puszcza doliny. W gąszczu drzew kryła się zwierzyna. Jelenie, sarny, dziki, borsuki i lisy czę-

sto przemykały po ścieżkach. W konarach drzew i na wąskich skrawkach nieba pojawiały się żurawie, sokoły, krogulce i drobne ptactwo. Puszcza zachęcała do polowania, lecz rycerze, mimo zmęczenia koni, spieszyli się. Gdy pokonali głęboki parów między dwoma wyniosłymi górami, którego dnem płynęła rzeka, skierowali się na południowy zachód. Po jakimś czasie, przekroczywszy rzekę i szeroki trakt prowadzący wzdłuż jej biegu, przewodnik

orszaku zeskoczył z konia i podbiegł do młodzieńca chcąc posłużyć mu ramieniem. Nim zdążył to uczynić, młodzieniec już stał na ziemi.

- Książę, tu jesteśmy bezpieczni. Zausznicy Sieciecha nie zapuszczają się tak głęboko w puszcę.

- Nie w mieczu, Bezprymie, szukasz nadziei, a w kryjówkach?

- Gdyby o moje bezpieczeństwo chodziło, a nie o wasze, książę...

Przy śmiertelnym łożu Bolesława przysięgłem, że pierwszej głowę oddam, niż tobie się stanie jakaś krzywda.

- Wynagrodzę cię za to przykładnie, gdy tron odzyskam.

- Nagrody mógłbym u boku Władysława szukać... Ja z miłości do ciebie, Mieszko.. ^Cichaj - zwrócił się Bezprym do jednego z towarzyszy - zwierza trzeba na posiłek upolować!

- Razem zapolujemy, Bezprymie.

- Twoja wola, książę! Będziemy ci towarzyszyć.

- Ruszaj!

Rycerze skoczyli na konie i zanurzyli się w kniei. Zagrały rogi, zatętniły kopyta płoszonej zwierzyny, zaszeleściły potrącane gałęzie. Książę Mieszko szybko wysforował się na czoło myśliwych. Miał najlepszego konia, zwanego Grzywaczem, który jeszcze jego ojca, króla Bolesława Śmiałego nosił. Gnał więc pierwszy. Początkowo obok pędzili Bezprym i Cichaj, najlepsi druhowie, którzy przybyli z nim z Węgier. Druhowiebracia. Ale dorównywali mu tylko do pierwszego wzgórka. Bezprym często pokrzykiwał, żeby książę uważał na niskie gałęzie, lecz wkrótce stracił

z oczu podopiecznego i zatroskał się mocno.

Książę pospieszał konia, by jak najszybciej uwolnić się od opieki zbyt troskliwego Bezpryma. Gdy mu się to udało, odetchnął z ulgą. Mógł zdać się na instynkt swojego rumaka. Zwolnił cugle i pomknęli niby wiatr. Nagle, w dolinie za wzgórzem, Mieszko zauważył, potężnego jelenia. Pasł się spokojnie, nie zważając na tętent myśliwskiego konia. Takiego rogacza szukał. Postanowił zapolować. Spiał Grzywacza ostrogami, aż ten stęknął i podwoił skoki.

Jeleń dostojnie uniósł łeb, a wtedy książę zauważył pomiędzy jego rogami podwójny krzyż. Lśnił w słońcu, jakby był ze złota.

To królewski jeleni i tylko król może go upolować, a wtedy stanie się panem tej krainy - przypomniał sobie książę opowieść starej Świętosławy, ciotki-królowej rezydującej na węgierskim dworze. Król... i ja będę królem. Spiał Grzywacza ostrogami jeszcze mocniej i skoczył na jelenia. Gdy sięgał po łuk, poczuł na twarzy smagnięcie wiatru. To zwierz przemknął tuż przed nim. Skręcił koniem i pognął w jego kierunku. Złoty blask migał między drzewami wskazując drogę ucieczki. Nim przebiegli dolinę, Grzywacz zbliżył się ób nieco do zwierraka. Zaświstała książęca strzała i ze zgrzytem wbiła się w drzewo. To chyba koń potknął się i dlatego pocisk był niecelny. Jeleń brał wzgórze dużymi susami. Poszedł za nim Grzywacz. Już lejce były mu zbędne, nie potrzebował poleceń jeźdźca. Poczł zew myśliwego i radość wiatru. Gdy znaleźli się na wzgórzcu, jeleni stał u jego podnóża z łbem odwróconym w ich stronę, jakby czekał. Nie trzeba było zachęcać konia. Nim Mieszko ruszył ostrogą, Grzywacz mknął w dół. Zdawało

się, że unosi go wiatr. Lecz królewskiego jelenia już nie było u początku doliny, blask jego krzyża świecił po jej drugiej stronie. Teraz ani goniący, ani uciekający nie zatrzymywali się. Mknęli co sił w nogach po dolinach i pagórkach zwinnie omijając rosłe drzewa, szybowali nad strumieniami,

dwoma, trzema susami brali łagodne wzniesienia. Gdy koń zbli-

żał się do rogacza, książę szył powietrze strzałami, lecz żadna z nich nie sięgnęła uciekającego. Przy pochylonym modrzewiu, za którym mignęła jasna poświata, wypuścił ostatnią strzałę, ale i ta tylko przeszła powietrze i znikła w chaszcach. Jeszcze kilkadziesiąt metrów pędził Mieszko w szalonym

galopie, gdy nagle zauważył, że tracą szybkość, koń zapada się po kolana. Przed nimi rozciągało się topielisko. Na jego przeciwległym krańcu stał królewski jeleń i patrzył w ich stronę. Urażał im. Koń starał się zawrócić, gdyż tonął coraz głębiej. Zeskoczył Mieszko z jego grzbietu, uwalniając od swego ciężaru. Musieli zrezygnować z dalszej pogoni i królewskiego trofeum.

Książę z trudem wygrzebał się z bagniska. Koń, uwolniony od ciężaru jeźdźca, zawrócił na twardy grunt. Ze zmęczenia mocno robił bokami. Jeleń jeszcze przez chwilę przyglądał się goniącym go i zniknął pośród drzew. W pobliżu księcia Mieszka nie było żadnego towarzysza, jakby pogubił wszystkich w szalonej pogoni. Zagrała na rogu nawołując druhów. Raz i drugi odpowiedziało mu leśne echo i cisza zapanowała dokoła. Tylko gdzieś z boku strzeliła złamana gałąź, zaszeleściły liście, jakby ktoś skradał się. Książę Mieszko nie przestraszył się tajemniczych odgłosów, wszak był Bolesława wicem. Pomacał rękojeść miecza i rozejrzał się uważnie. Wiatr delikatnie

poruszał gałęziami wiekowych dębów i smukłych modrzewi. Z mokradeł zamykających dolinę unosiły się opary i szedł chłód. Ruszył książę po pochyłości

wzgórza, by suchsze miejsce znaleźć i przysiąść dla odpoczynku.

Czuł się zmęczony pogonią mimo młodego wieku, bo ledwie osiemnaste urodziny przed dwoma niedzielami obchodził. Niedawno przecież z dalekich Węgier bez przerwy trzy tygodnie gnał na koniu, kiedy go stryj Władysław Herman wezwał do siebie przerywając tułaczkę wygnania. Druhowie gorąco radzili skorzystać z zaproszenia, ale w Krakowie a nie Płocku zamieszkać. Moźni najpierw ojca Bolesława z kraju wypędzili pod pretekstem kary bożej za poćwiartowanie biskupa Stanisława, a teraz przeciwko

Władysławowi, niedawno wyniesionemu na książęcą stolicę, buntują się. Mówią, że dumny Sieciech sam chce państwem władać. Wierni druhowie radzili prawowitemu następcy tronu pośród swojego ludu zamieszkać i praw dochodzić. Ukrócić działania Sieciecha i wielmożów. Własne stronnictwo budować. Musiał jednak księżę odwiedzić stryja Władysława, pokłonić się władcy Polan i podziękować za przywrócenie do łask. Wymagała tego dworska etykieta. Ledwie Mieszko pojawił się w Płocku, Sieciech intrygi przeciwko niemu wszczął. Mówiło się również, że namawiał Władysława, aby bratańca z jaką ruską, jak jego matka, dziewczką ożenił i do poddanych zaliczył, albo... skrycie życia pozbawił. Więc po krótkim odpoczynku Mieszko ruszył bez wiedzy stryja w stronę Krakowa - piastowskiej stolicy, gdzie będzie odpoczywał po trudach podróży i stronników zjednywał. Zaległ księżę na kępie trawy, miecz i łuk, bez grotów mało przydatny, ułożył przy boku. Zapatrzył się w korony starych drzew, których tak brakowało mu na węgierskiej nizinie. Gdzieś pośród ich gałęzi zaśpiewały ptaki, od strony mokradeł dochodził pisk bobrów rozkoszujących w wodzie, w gęstych krzakach pohukiwał puchacz.

Strzeż się, książę, strzeż,
tropi cię srogi zwierz.
Złoto, miecze, księcia strój
nie uchronią od złych sług.
Ogień pali, w głowie szum -
koniec, książę, koniec tu!
Słuchaj, książę, uwierz sowie,
nie zasypiaj w tej dąbrowie...

Zerwał się książę. W prześwicie między drzewami mignęło poroże jelenia, obok głośno parskął koń, jakby strachał się czegoś, miecz i łuk leżały w trawie. Mimo szumu dąbrowy panowała dziwna cisza. Usnął? i zaczął go męczyć sen, który powraca od kiedy opuścił Węgry? To na pewno ze zmęczenia. Usiadł ponownie. Wkrótce oczy Mieszka znowoi zaczęły się zamykać. Jeszcze nieoczekiwanie zjawiła się w nich Inga - towarzyska młodzieńczych zabaw na węgierskim dworze - która, łkając, prosiła go, by nie wierzył słodkim słowom stryja i wracał jesienią. Lecz również widok Ingi nie powstrzyma: opadania powiek. Zasnął Mieszko.

* * *

Zjawili się zauszniczy Sieciecha, wielu mocnych zbójów ubranych w rycerską zbroję. Rzucili się na księcia, chcąc związać go i pojmać. Dwócl dopadło do nóg, by je unieruchomić, jeden skoczył na piersi, by oddecl tamować, następny ucałił za szyję, chcąc zdusić. Kilku pochwyciło za ręce.. Szarpnął się książę, starając się przetrzeć oczy i odpędzić strasz sen. Lecz widziadła nie ustąpiły, jakby to nie była mara. Szarpnął siejesz cze raz i sięgnął do boku. Nie było przy nim miecza. Uwolniona ręka po zwoliła ucałić złoczyńcę, co go dusił, za radą brodę i na bok odepchnąć Chwycił haust powietrza dodający sił i następnego odrzucił w bok, aż tei jęknął odbity od drzewa. Lecz w miejsce dwóch odrzuconych pojawili sinowi. Książę młody był, przez ojca - nie lada przecież rycerza - i srogie] nauczycieli do rycerskiego rzemiosła dobrze sposobiony. Kolanem podbi rękę napastnika krępującego mu rzemieniem nogi i kopnął w jego zaro sniętą twarz, aż krwią splunął. Uderzeniem głowy zmiażdżył nos jedno okiego, gdy ten szykował się do ciosu długim nożem... Bronił się książę dzielnie. Pogodnie usposobiony do ludzi, nigdy ni czuł w sobie tyle sił, jakby mu ich dodawał Władysław Węgierski, o którym

od dawna mówiło się, że to nabożny i święty maż, obdarzony wielkimi mocami. Lecz bez groźnego miecza i sprężystego łuku nawet z pomocą świętego męża nie mógł Mieszko pokonać zbójów, którzy nieustannie skądś przybywali. Zaczął słabnąć. Wtedy przypomniał sobie o najwierniejszym druhu - Grzywaczu. Gdy zasypiał zmęczony pogonią, jego koń skubał trawę na skraju doliny. Może napastnicy nie zrobili mu krzywdy? Książę zebrał w sobie siły i zagwizdał donośnie. Odpowiedziało mu groźne rzenie, a za moment tętent kopyt. Grzywacz już dwukrotnie skutecznie radził sobie z góralskimi zbójami, gdy przekraczali Karpaty w drodze powrotnej do kraju. To koń ojca. Kiedy król Bolesław, trzeciego kwietnia osiemdziesiątego pierwszego roku, niespodziewanie zmarł, jakby otruty, jego koń dostał się synowi. Od tamtej pory Grzywacz służył mu tak wiernie, jak wiernie służył pierwszemu panu.

Twarde kopyta niby dwie maczugi spadły na zbójników. Jeden, drugi jęknął i leżał na ziemi martwy. Inny dostał zadnim kopytem i niczym szmata poszybował w powietrzu. Spadł pod drzewo jak uschnięta szyszka. Grzywacz szalał. Przerażliwie rżał i śmiertelnie uderzał. Już kilku napastników leżało martwych, inni szykowali się do ucieczki. Książę mógł usiąść i rozejrzeć

się za swoją bronią. Cisowy łuk leżał w odległości kilku kroków.

Był połamany. Mifecza nigdzie nie było. Musiał zabrać go któryś z uciekających.

Wrogowie czmychali, a Grzywacz uganiał się za nimi między drzewami, coraz dopadał któregoś i uśmiercał.

Przy niskim dębnie czaił się rudzielec, którego książę zrzucił z siebie pierwszego, gdy uwolnił rękę. Klęczał i błagał o przebaczenie. On nie zbój on tylko chciał osłonić księcia swym ciałem, choć książę nie wyczuł jego intencji i zrzucił na ziemię. On gotowy jest udowodnić swoje przywiązanie do następcy tronu. Ma we flaszy źródlaną wodę, którą podzielił się z księciem...,

ostatnią kroplę odda potomkowi Piastów.

Istotnie, Mieszko czuł duże pragnienie, a tego człowieka chyba gdzieś

już widział. Może w orszaku stryja Władysława? Nie, przywidziało mu się. Łatwowiernie wyciągnął rękę po flaszę. Rudy jeszcze mocniej przywarł do ziemi, jeszcze pokorniej patrzył w oczy i sunął na kolanach. Flaszka była chłodna. Pewnie i płyn w niej musi być chłodny? Aż zapiekły wargi, gdy dotknęła je flaszka. Grzywacz rżał i pędził do Mieszka. Ach, jaki chłodny płyn... aż piecze! Ogień! Ogień... trucizna! Wypluł Mieszko napój, ale kilka jego kropeł dostało się do gardła i utknęło w nim, jakby przeszył je rozpalony do białości miecz. Grzywacz miażdżył kopytami ciało rudzielca. Księżę osunął się na ziemię. W gardle i w piersiach płonął okrutny ogień, w głowie szumiało. Tracił przytomność. Nagle pojawiła się święta postać Wojciecha, patrona Piastów. Jego pogodna twarz uśmiechała się. W prawicy dzierżył biskupi kostur. Zakreślił nim u podnóża wzgórza krętą linię. Trysnęła woda. Zaszumiała na kamieniach i korzeniach przezroczysta struga. Święty Wojciech zapraszał do niej księcia. Mieszko, mimo utraty sił i okrutnego bólu, zebrał się i powoli zaczął do niej sunąć. Szło mu ciężko, omdlewał, trzeźwiał i sunął dalej. Za każdym ruchem był coraz bliżej. Wreszcie dotknął wilgotnego brzegu. Zanurzył głowę w błękitnej wodzie. Była chłodna, lecz jakże inaczej smakowała niż ta z flaszki. Pił i pił, a pieczenie w gardle i piersiach ustępowało. Przerwał na chwilę, uniósł się na rękach. Grzywacz spokojnie skubał trawę, w konarach drzew przekomarzało się ptactwo. Po postaci świętego Wojciecha nie zachował się żaden ślad. Na skraju doliny nie było nikogo, tylko on pochylał się nad rzeką, której wcześniej też tu nie było, i oglądał w jej przezroczystej wodzie swoją okrwawioną twarz. Nie miał broni... Napaść Sieciechowych zbójów jednak nie była snem. Jeszcze zaczerpnął kilka łyków wody i zerwał się na nogi. Był wypoczęty i rześki. Woda całkowicie przywróciła mu siły. Pod starym dębem, gdzie trawa była szczególnie mocno wygnieciona, leżał jego połamany łuk i myśliwski róg.

-Jezu Kryste!

Krzyknął ksiązę i skoczył w stronę dębu. Chwycił róg wybijany złotymi guzami, który otrzymał od Ingi przy pożegnaniu i zadał w niego z całych sił. Aż liście posypały się z drzew, a ptaki zerwały dużą chmarą. Od razu odpowiedziały mu inne rogi i głośnie nawoływanie. Na skraju doliny wkrótce pojawili się towarzysze podróży, których zgubił w pogoni za jeleniem,

i pośpiesznie kierowali się ku niemu. Byli uradowani z odnalezienia cennej zguby. Jeden przez drugiego wypytywał o okoliczności połamania łuku, strugę płynącą w pobliżu i ślady walki na polanie. Ksiązę nie nadążał odpowiadać. Jedni smucili się opowieścią o napadzie zauszników księcia i Sieciecha, inni radowali się z cudownego pojawienia się świętego męża. Smakowali wodę z czystego strumienia.

- Druhowie mili, miejsce to zostało naznaczone świętą ręką Wojciechowa. To znak - powiedział ksiązę, gdy już zaspokoił ciekawość towarzyszy.

- Moim życzeniem jest na wzgórzu tym pobudować kościół i nazwać go imieniem... Wojciechowym imieniem. To męczennik dał mi życiodajną wodę, kiedy stryjowskie zmyry otruć chciały. Radź, Bezprymie, z jakiego drzewa świątynię budować?

- Z dębu, ksiązę. To najpotężniejsze drzewo, bóg ognia i nieba, wnuków twoich przeżyje.

- Prawdę mówisz, ale to pogańskie drzewo. Niech kościół będzie z modrzewia. Odnowy nam trzeba, odnowy państwa, młodości i urody życia, a to tylko modrzew może zapewnić.

- Masz rację, ksiązę.

- Dopilnuj, Bezprymie, aby na wzgórzu stała Wojciechowa bożnica, kiedy tu ponownie przybędziemy.

- Twoja wola, ksiązę!

- Rzekę zaś, która przywróciła mi siły, chrzczę imieniem Silnica.

Ksiązę pochylił się, zaczerpnął garść wody i uczynił nad strugą znak krzyża.

Po ceremonii dosiedli koni i ruszyli dalej. Radość zapanowała w książęcym orszaku, jakby zapomnieli, że zausznicy Sieciecha wytropili ich, mimo iż skrycie do Krakowa zmierzają i na życie prawowitego następcy tronu czyhają. Zapomnieli o niebezpieczeństwie, wszak znajdują się pod opieką świętego Wojciecha, którego ciało Bolesław Chrobry, prapradziad księcia, na wagę złota z rąk dzikich Prusów wykupił.

Zjechali ze wzgórza, przekroczył błękitną strugę- Sinicę, jak ochrzcił ją Mieszko i skierowali się na północ. Po niedługim czasie znowu otworzyła się przed nimi polana, pośrodku której stało kilka biednych chat. Z jednej przez otwór w dachu wydobywał się dym. Ktoś w niej czuwał. Zaszczekał pies i przed chatę wyszedł kmieć. Nie był zaskoczony widokiem przybyłych, jakby od dawna obserwował ich zbliżanie się. Szeroko rozłożył ramiona, pochylił się nisko i w gościnę zapraszał.

- Prosimy, panie, prosimy...

Przy wejściu na polanę, niczym słupy bramy, wbite były w ziemię dwa olbrzymie kły. Przystrajały je wianuszki suszonych ziół. Mijając bramę, książę dotknął ręką kła, dziwując się jego wielkości.

- Prosimy, panie, prosimy. U nas woda i chleb tylko, ale podzielimy się

- Dzisiaj nie mamy czasu, dobry człowieku. Daleka jeszcze droga przed nami. Bóg pozwoli, kiedyś skorzystam z twojej gościny. O kogo p; tac? Jak się osada zowie?

- Kiełce, panie, *Kiełce!*

- Kiełce, powiadasz, dobry człowieku. Niech będą Kiełce. Wojciechowej bożnicy je daruję! W drogę, druhowie mili. W drogę!

Książęcy orszak znowu zanurzył się w puszczy. Długo towarzyszy mu puszczańska pieśń.

Hen pod Łysą Górą
książę nasz polował.

Zmęczony pogonią,
pod krzakiem on zasnął.
Zbójcy go napadali
i uśmiercić chcieli,
ale święty Wojciech
od zguby ocalił.
Dałeś, książę, rzekę
i miasto nam dałeś.
Wracaj do nas często
- prosimy w gościnę...

Jednak książę drugi raz nie miał okazji zawitać w gościnę do Kielc ani napić się ożywczej wody z Silnicy. Dwa lata później stryj Władysław Herman przymusem ożenił go z „ruską dziewczką”. W kilka tygodni po ślubie, z polecenia możnowładcy Sieciecha, książę został otruty.

BARTKOWE OPOWIEŚCI

Do starego dębu, co w Bartkowie nad rzeką Bobrzą rośnie, często przychodzą dzieci. Zbierają jego opadłe liście, zrobaczywiałe żołądźcie, czeszą trawę przez wiatr potarganą. Gdy skończą swoją pracę, biorą się za ręce i, tańcząc wokół drzewa, śpiewają:

Bartku, stary Bartku -
w twych konarach wiatr,
deszcz i słońce, ptaków roje,
tysiącletnie dzieje.
Znowu wokół ciebie
^dzieci duży krąg,
roztańczony, rozśpiewany
łańcuch wielu rąk.
Bartku, stary Bartku -
opowieści snuj;
o ludziach i zdarzeniach,
czas przypomnij swój.

A wtedy dąb, jakby uradowany wdzięcznym śpiewem, zaczyna poruszać konarami i szeleścić liśćmi. W jego szepcie można dosłyszeć się wiele ciekawych opowieści.

I

Jestem stary, starszy od was, waszych ojców, od Polski nawet starszy. Ziarno żołądzia, z którego wyrosłem, przyniosła pobliska rzeka w czasie wiosennej powodzi i na stromym brzegu zostawiła. Rosłem sam, dokoła nie było nikogo, tylko trawy, skały i chwasty. Smutno było, w mych gałęziach tęsknie grały wiatry, deszcze smagały moje liście, ptaki rzadko mnie odwiedzały.

Dzień następował po nocy, po dniu noc. I tak każdej wiosny, każdego lata, każdej jesieni i zimy. Niezmiennie. Zdawało się, że czas nie płynie, lecz stoi w miejscu. Jednak pewnego razu przekonałem się o jego istnieniu. Byłem już dorodnym młodzianem, gdy do rzeki u podnóża mojej skały zbliżył się starzec. Zdrożony był i łykiem wody chciał odnowić swoje siły. Niespodziewanie poślizgnął się na wilgotnej skale i poleciał w dół. Jego laska głośno chlupnęła w wodę. Przykro było patrzeć, jak moknie siwa broda starca, jak rozpaczliwymi ruchami ratuje się od niechybnej śmierci. Ulitowałem się nad człowiekiem, pochyliłem nisko, objąłem konarami i wyniosłem na suchy brzeg. Nie wiedziałem o tym, że był to święty mąż, mocarz wielki, władca puszczańskiej krainy. To największy bartnik, co od pszczół otrzymał dar przepowiadania przyszłości, a od leśnych duchów magiczne zdolności. Gdy wpadł do wody, zapomniał o swojej władzy i umiejętnościach. Pewnie poszedłby na dno... pomogłem starcowi.

- Dębczaku szlachetny - przemówił święty mąż, ledwie zrzucił z siebie przerażenie - za czyn ten należy ci się nagroda.

Nie myślałem o nagrodzie, udzielając starcowi pomocy.

- Rośniesz tu samotnie, na liczne niebezpieczeństwa jesteś narażony, nikt ciebie nie zna, to chociaż bądź wytrzymały na przeciwności losu, znoś je dzielnie. A za to, że uratowałeś starca, sam dożyjesz sędziwego wieku i ludzie będą pamiętać o twoim czynie. Za dobre serce i mądry umysł ludzie na znak szacunku będą zdejmować przed tobą czapki, a twoja kora, nasiona i liście będą miały uzdrawiającą moc...

I starzec zniknął, jakby uniosły go ptaki, tylko w miejscu, gdzie wpadła do wody jego sękata laska, rzeka stała się nieco bardziej prosta, a woda błękitna.

Znowu zostałem sam na skalnym cyplu, ale dni i noce były teraz radosne. Słońce świeciło jasno, wiały ciepłe wiatry, deszcze padały delikatnie. Najbliższej wiosny wokół mnie pojawiły się inne drzewa: świerki, jodły i buki. Przybywało ich każdego roku. W moich gałęziach zagościły ptaki. Od ich śpiewu i harców było wesoło i przyjemnie. Teraz puszczańska kraina radośnie i szeroko otwierała się przede mną. Rosłem szybko, zacząłem przewyższać inne drzewa.

Pewnej jesieni, gdy drzewa kolejny raz zrzuciły liście, nad brzegiem Bobrzy pojawił się wielkolud sławny w okolicy ze złych uczynków. Był nim zbój Ozga mieszkający między skałami Łysych Gór. Utrzymywał on towarzystwo z czarownicami i czartami. Może znowu napadł na podróżujących

kupców, może zranił kogoś? Był zmęczony, a ręce jego okrwawione. Chciał błękitną wodą Bobrzy ugasić pragnienie. Pomyślałem sobie, żeby przepędzić złego zbója. Ale jak? Z pomocą przeszedł mi przypadek. Ozga, pewny siebie, raźnie stapał po kamieniach wyścielających ścieżkę prowadzącą w dół ku rzece. Nagle jeden z nich obsunął się, a zbój zachwiał i zaczął zsuwać po skarpie. Chciał uchwycić moją gałąź, by ratować się przed zamoczeniem. Pomyślałem: - Nie zasłużyłeś na pomoc. Wieleś złego uczynił! - i uniosłem gałąź tak, że jego okrwawiona ręka ześlizgnęła się po niej, zrywając tylko kilka listków. Klął zbój siarczyście, gdy nadal sunął w dół. Skapał się w wodzie po czubek rozczochranego łba. Na jego przeraźliwe krzyki i złorzeczenia zbiegły się wiedźmy, co na Łysej Górze gniazda swoje miały, i z pomocą czarcich mioteł wyciągnęły Ozgę z topieli. Rozwścieczony zbój dopadł do mnie, pochwyił mocarnymi łapskami, wyrwał z ziemi, zakołował mną nad głową i na wiele metrów odrzucił od rzeki.

- Masz za swoje, hardy dębczaku! Tutaj szybko uschniesz!
Spadłem gałęziami w dół, a korzeniami do góry. Myślałem, że już koniec ze mną, jak chciał Ozga. Tak się jednak nie stało. Nie umarłem. Działo zaklęcie świętego starca, którego uratowałem od utonięcia. Szybko zapuściłem korzenie i rosłem... tylko te rozłożyste gałęzie jak korzenie szpecą nieco... tylko to oddalenie od rzeki...

Bartku, stary Bartku -
piękne twe konary.
Pełne słońca, złotych liści,
gromad ptaków i żołądzi,

a pod drzewem cień,
w którym człek zdrożony
odpoczywać może
przez calutki dzień.

Tak to się zdarzyło dawnymi laty, radosna gromado - znowu wiatr poruszył konarami starego dębu i dalej snuła się tajemna opowieść.

II

Cień moich gałęzi, bliskość wartkiej rzeki zasobnej w ryby i bobry, puszcza pełna dzikiej zwierzyny ścigały najznamienitszych mężów. Któż nie zażywał dobroci mojego cienia? Ho! ho! ho! Któż żołądzi nie jadł, aromatycznego napoju z nich parzonego nie pił? Oho! ho! Nie starczyłoby na bajanie wszystkich moich dni przeżytych. Posłuchajcie co zacniej szych. Ojciec królów, Wielki Mieszko, naparem z moich liści leczył jaglicę, która przydarzyła mu się w dziecięcym wieku, aż ujrzał własnymi oczami niebo i ziemię, bory i równinne połacie kraju swego ojca Ziemowita. A gdy

zatruta niemiecka strzała do śmiertelnego łoża go przykuła, leczono go startymi na mąkę żołądziami zebranyymi podczas nowiu i wymieszanymi z miodem moich pszczoł. Za ozdrowienie nadał mi książęcy tytuł i szacunek u poddanych nakazał, a do grobu świętego Udalryka w Augsburgu posłał srebrne ramię.

A ileż razy odpoczywał w moim cieniu jego syn Chrobry; i kiedy udzielnym księstwem w Krakowie władał, i kiedy stolicę w Gnieźnie objął. Król Chrobry miał zwyczaj polować w mojej puszczy na dzikiego zwierza. Był to wojowniczy władca, więc polował często. Zdrożony zawsze w moim cieniu odpoczywał, jagody podjadając dla lepszego trawienia mięsiwa.

W podziękowaniu za ożywczy cień, za smaczne miód i ptaków śpiew nadał mi przywilej królewskiego drzewa. Byłem bardzo dumny z wyróżnienia. Gdy król odpoczywał, kołysałem go łagodnym szumem, chcąc podziękować szczodremu władcy za łaskę.

Często gościli u mnie jego wnukowie i prawnukowie, kiedy na zbuntowane Mazowsze z wojami szli, kiedy krakowską stolicę obejmowali, a nawet kiedy z wygnania powracali: i Kazimierz Odnowiciel, i Bolesław Szczodry, nawet nieszczęsny Mieszko, który Kielce założył, odpoczywał w moim cieniu, n&zwierza polując. Wszyscy oni tutaj przeżywali swoje radosne i bolesne chwile.

Królowałem nad puszczańską krainą, garnęli się do mnie władcy i ludzie. Leczyłem ich rany i dolegliwości. Nie chwałąc się, z moją pomocą książę Łokietek zbierał siły, gdy z Sandomierza na Kraków planował ruszyć. Lud opowiada, że przyczyną jego zmiennego losu, wygnań i powrotów na książęce stolice był ból zębów. Dzielny rycerz, prawy władca, a potrafiła złamać go mała ludzka dolegliwość - ból zęba. Wyzbył się jej dopiero przed koronacją na króla, jakby boskiemu pomazańcowi nie przystała taka słabość. Całą noc krążył wokół mojego pnia, ręce w modłach jak do jakiego bóstwa składał i prosił:

Powiedz-że mi, powiedz, wszechmocny mój dębie,
jakim to sposobem leczyć zęby w gębie?

Szczerze prosił, łez nie żałował, ulgi dla poddanych obiecywał, więc
usunąłem jego dolegliwość, aby siły i myśli polskiemu królestwu i jego
ludowi mógł w całości poświęcić.

Jego syn zaś - Wielki Kazimierz - w moim cieniu swój tron sprawiedliwości
ustawił i krzywdy ludzkie sądził. Wielu poddanych od gniewu
łakomych panów uchronił, wielu zdrożnych na drogę prawości naprowadził.
Słuchając skarg, poznawał potrzeby swojego ludu, co pomagało mu
mądrze i sprawiedliwie rządzić. Zjednął sobie przydomek „króla chłopów”,
a państwo jego stało się potęgą. Kiedy ostatni raz na sądy w cieniu moich
konarów przybył, przekazał mi przywilej królewskiego sędziego.

Z mocarnym Litwinem - Władysławem Jagiełłą - zbratałem się jak
z żadnym innym królem, bo przymioty miał wielkie i z puszczańskiego
kraju pochodził, za swojego boga mnie niemal uznał. Przez wiele tygodni
polował w Świętokrzyskiej Puszczy gromadząc zapasy dziczyzny na rozprawę
ze złymi rycerzami spod znaku Krzyża. Namiot swój kazał rozstawić
pod moimi konarami i każdej nocy, każdej wolnej chwili rozmawiał ze
mną. Opowiadał o zmaganiach jego litewskiego narodu z Krzyżakami,
o młodzieńczej przysiędze złożonej Perkunowi ukrytemu w Baublisie
pomszczenia

swego ludu niszczonego przez złych rycerzy. Odkąd stał się królem
Polski, dwa narody musiał przed nimi chronić.

- Święty dębie - to prosił, to wygrażał - daj moc wielką mnie i moim
wojom, daj siłę pokonać wroga... Zaklinam cię, święty dębie...

Mocarzu, uproś swoich braci, by stanęli w jednym szeregu ze mną...

Przemów za moimi wojami do Perkuna i duchów przodków, by wzięli
nas pod swoją opiekę; choćby boskim ogniem i czarami - niechby pomogli
pokonać wroga!

Święty dębie - modlił się do mnie jak do Baublisa, świętego drzewa wszystkich Słowian, żądał przepowiedzenia zwycięstwa...
Gorące były jego prośby i głębokiej troski o dwa narody, słowa z dna serca płynęły... pokonał złych rycerzy spod znaku Krzyża, okrył się wieczną chwałą.

I następni królowie i znamienici mężowie odpoczywali w moim cieniu, posilając się upolowaną zwierzyną, zebranymi jagodami, popijając miód z moich barci albo ożywczą wodę z Bobrzy. Ucztowali, kiedy sprzyjała ku temu radosna okazja albo smucili się wraz ze mną, kiedy nad puszczańską krainą zbierały się groźne chmury.

Ostatnią wielką ucztę Jan III Sobieski wyprawił. Okryty chwałą wiedeńskiej wiktorii, objuczony zdobyczami na Turczynie i darami możnych, którym uratował ogromne włości, powoli zdążył do Warszawy. Nawet tęsknota do Marysieńki nie przyspieszała jego powrotu. Często ucztował. Ledwie odpoczął po hucznym przyjęciu w Chęcinach, gdzie nawet łuk tryumfalny na jego cześć wzniesiono, już w Bartkowie zapragnął nowego odpoczynku.

Padał mały deszcz, drobny kapuśniaczek, przeto biesiadne stoły kazano ustawić pod moimi konarami. Biesiadowano cały wieczór, całą noc i połowę dzionka. Król nie mógł się nadziwić mojej wielkości. Wielu jego dworaków musiało chwycić się za ręce, by objąć mój pień. Wielu na konary się wspinało, chcąc popisać się odwagą i sprytem, których nie zawsze im starczało na tureckiej wojnie. Wielu, chcąc wzbudzić radość monarchy lub jego dostojników, do moich dziupli po dawnych barciach wchodziło i niedźwiedzia

udawało. A po każdym zręczniejszym wyczynie kielichy szły w górę, biesiadne okrzyki płoszyły ptactwo mieszkające w moich gałęziach. Na koniec uczyty, kiedy zbliżała się pora dalszego podróży, rozradowany król chwycił ze stołu butelkę węgryna i srebrną rusznicę, ofiarowaną mu przez niemieckiego księcia, wrzucił do mojej najwyższej po-

łożonej dziupli, niby w paszczę jakiego dzikiego zwierza. Pijana kompania przyjęła królewski żart szalem radości. Uradowany Jan III chwycił trzos złotych monet i też do dziupli wrzucił, nie wiedząc, że gestem swoim co prawda powiększył radość wojów, ale mnie przysporzył wiele trosk i boleści. Od tamtej pory coraz pojawiali się zachłanni śmiałkowie, którzy chcieli wydobyć skarb, nierzadko raniąc mnie dotkliwie. Żadnemu się jednak nie udało. Dobrze strzegę królewskiego daru.

Moje królewskie koligacje zamyka Stanisław August Poniatowski, ostatni i najbardziej nieszczęsny król Polski. Objeżdżając swoje dobra, w drodze powrotnej z Kaniowa, gdzie do carycy Katarzyny umizgi czynił, zawitał na Świętokrzyską Ziemię. W dworach i pałacach przyjmowano go dobrze. Również

ja zaszumiałem gałęziami, pochyliłem się nisko, jak przed koronowaną głową wypadało uczynić, aż król rozpromienił zatroskaną twarz i wyraził dla mnie uznanie. Jego nadworny poeta na moją cześć nawet wiersz ułożył:

Przed tego dęba cieniem rozłożystym,
Usiądźmy bracia! A gdy słońca skwary
Zgasną pod jego gęstymi konary,
Cześć jego głosim w śpiewie uroczystym.
Dębie olbrzymi! Cześć ci przed innemi,
Cudowny synu natury wspaniałej,
Ty nosisz piętno Wszechmocnego chwały
Pierwszy w roślinnym państwie naszej ziemi...
To był chyba ostatni uśmiech królewski uczyniony w moim cieniu.
Po nim nastały smutne czasy...
Bartku, stary Bartku
smutna twoja twarz,

ale w naszym kręgu
wiernych przyjaciół masz.
Opowiadaj dalej
- dębie, dobry dębie -
jak służyłeś Polsce
w dalszej jej potrzebie?
Smutno bywało, wesoła gromado - i znowu dąb poruszył konarami,
a opowieść potoczyła się dalej.

III

Puszczański kraj popadł w niewolę, lecz potomkom rycerzy spod
Grunwaldu pogodzić się z nią było trudno. Polacy często więc występowali
zbrojnie przeciwko zaborcy. Ginęło wielu ludzi, palono wiele domów,
zagród, niszczone drzewa, bo przed prześladowaniami bohaterowie uciekali
do lasu, gdzie łączyli się w zbrojne gromady. Las musiał ich wyżywić,
ogrzać i ukryć. Widziałem wiele leśnych oddziałów.
Pierwszy odpoczywał tutaj ze zbrojnym oddziałem - kosynierami
zwanym - Tadeusz Kościuszko. Okrwawiony i zmęczony szedł ze Szczekocin
ku Warszawie. Dwudniowy odpoczynek w Kielcach nie zregenerował
jego sił, zbyt krótko trwał. Naczelnik dodatkowy odpoczynek zarządził
w moim cieniu. Szybko przywróciłem siły jego żołnierzom. Raźnie
poszli pod Warszawę.
Podczas następnego zrywu niepodległościowego, listopadowym zwanym,
w kuźnicach sąsiedniego Samsonowa i okolicy wyrabiano broń dla
powstańców. Zdarzało się, że trzeba było ją pospiesznie ukryć, nim dotarła
do leśnego oddziału. Chowano ją do moich dziupli, których z wiekiem
przybywało. U mnie każda ilość broni była bezpieczna, nigdy nie znaleźli

jej carscy szpiedzy.

Siadów zmagają Polaków o wolność jest wiele wokół mnie. Na przykład te żeliwne krzyże Chrystusowe - to dwaj oficerowie-powstańcy styczniowi, których pojмали Kozacy i powiesili na moim konarze. To nic, że na jednym krzyżu widnieje data 1853 rok. W tym roku został odlany w kuźnicy na pamiątkę wygaśnięcia epidemii cholery dziesiątkującej ludność. Na mój pień został przeniesiony po egzekucji powstańców. Drżałem z przerażenia,

trzęsły się moje gałęzie, szeleściły liście słysząc błaganie skazańców o litość... nie mogłem im pomóc mimo szczerych chęci. Dwa lata nie owocowałem, tak nadwerżyłem swoją wolę... nie mogłem! Dopiero, kiedy Moskale padli za Bobrzą w starciu z innym oddziałem powstańczym, sprawiedliwie

osądziłem ich dusze. Rozpętałem wielką burzę. Dusze Moskali strąciłem piorunami na samo dno piekieł. Zapomniałem się w okrucieństwie, tak mi polskich synów było żal. Ich śmierć tutejsi ludzie uczcili powieszeniem na moim pniu tych oto dwóch krzyży.

Pod moimi korzeniami, ale o tym cicho, nikomu więcej - nawet wam nie powiem, pod którym konkretnie - ukryty jest duży skarb: trzydzieści tysięcy złotych rubli i cztery ciężkie sztaby czystego kruszcu. Może spośród was wyrośnie śmiałek, który znajdzie ten skarb? Ale pewnie wiecie o moim warunku: Skarb mój oddam tylko najszlachetniejszemu spośród najszlachetniejszych

Polaków, i to w chwili ostatecznego zagrożenia ojczyzny.

Ten skarb właśnie ją uratuje!

Styczniowe powstanie upadło, smutek i żal ogarnęły cały kraj. Pod moimi konarami odbył się kolejny sąd pośmiertny nad duszami zdrajców. Potępieńczym wyrokom towarzyszył tak silny huragan i gęsty deszcz, że w alei drzew padli dwaj moi bracia - pewnie małej wiary byli - a stare modrzewie przeredziły swoje korony. Płakałem nad nimi, ale sprawiedliwości musiała stać się zadość...

Kolejny taki sąd odbył się dopiero w 1946 roku, jeszcze za pamięci

waszych dziadów. Musicie wiedzieć, że w czasie ostatniej wojennej pożogi wielu Polaków z głodu i biedy zaprzedało się Hitlerowi. Podczas lipcowej burzy, o której przez długie lata krążyły smutne opowieści, ich dasze zostały przykładowo ukarane. Tym razem sędzią nie byłem ja, a dusz 3 innych Polaków-patriotów.

Moją osobistą najboleśniejszą pamiątką przeszłości jest okaleczenie ze wschodniej strony - blizna po pożarze stodoły, mojej wieloletniej sąsiadki. Na początku ostatniego wieku gnębiony lud polski znowu powstał przeciwko zaborcy, pragnąc wolności i poprawy sytuacji materialnej. Po okolicy przemieszczały się grupy bojowców niszcząc księgi podatkowe, portrety cara i jego rodziny, rozbijając browary ze zniechęconym napojem, którym zaborca płacił za pracę. Bojowcy chcieli zdobyć i zniszczyć leśniczówkę.

Nie mogąc tego dokonać, podpalili stodołę wypełnioną owocami całorocznej pracy-zbożem. Ogień bardzo mnie zranił, z jego skutkami, mimo waszej i dobrych ludzi pomocy, nie mogę sobie poradzić do tej pory. Pewnie ciekawi również jesteście historii i tej pamiątki - piaskowego kamienia, co obok mnie leży? Ustawiono go w nieco innym miejscu na kilka lat przed ostatnią wojenną pożogą, w 1933 roku, w 25 rocznicę powstania

Związku Walki Czynnej. Była to tajna organizacja patriotyczna, która wychowała wielu oficerów i żołnierzy dla polskiego wojska. To oni wywalczyli ojczyźnie wolność po wielu latach mrocznej niewoli. Odsłonięcie kamienia-pomnikabyło manifestacją uczuć mieszkańców całej puszczańskiej okolicy. Na obecne miejsce przesunął go leśniczy i ukrył w trawie, aby uchronić od zniszczenia przez złych ludzi. Tu odnaleźli go uczniowie i zaopiekowali się nim.

Stoi teraz obok, dzieli ze mną los, cieszy się z wami...

Oto moje najciekawsze przypadki i przygody. Jestem bardzo zadowolony, że znowu byliście ze mną, że wysłuchaliście mojego bajdurzenia.

Mam nadzieję, że jeszcze nieraz powrócicie tutaj...

I my się cieszymy,
stary Bartku nasz,
opiekę ci przyrzekamy
przez drugie tysiąc lat.
Tańczymy wokół ciebie
- tysiącletni dębie -
ślemy promień słońca
skąpany w ptaków śpiewie.
Bądź ty zawsze z nami
- dębie tysiącletni -
w przyjacielskim kręgu
połącz wszystkie dzieci.
Dziękujemy, Bartku,
Bartku, dziękujemy
pewnie jutro znowu
z tobą zatańczymy...